



Michał Krupa

# Łosoś norwesko-chiński



Michał Krupa  
„Łosoś norwesko-chiński”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2014  
Copyright © by Michał Krupa, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski  
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok  
Zdjęcia okładki: © antonbrand; jokatoons; Bokica;  
illustrart; denis\_pc – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-175-0

Wydawnictwo Psychoskok  
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Głupie, ale fajne*  
*Dzięki ci Mari za tę krótką recenzję „Łososia”.*  
*Nawet nie wiesz, ile ona dla mnie znaczy.*

**U**rodziłem się roku pańskiego 1974..., nie, tak nie. *Moja matka w bólach urodziła mnie...*, tak też nie. *Mam na imię Maciej. Maciej Prus...* To jakaś porażka! Ja nawet nie wiem, jak mam zacząć książkę?! Potrzebuję inspiracji. Tak dokładnie zaplanowałem ten piątkowy wieczór. Mam piwko, papierosy i spokój. Siedzę przed komputerem i nic! Totalnie nic! Moja muza zapewne gdzieś baluje albo odsypia wczorajszy dzień. Ja jednak mam mocne postanowienie – zacznę pisać moje wspomnienia. Melodia kankana przerywa moje rozmyślenia. Uważam ten dzwonek za prymitywny i prostacki. W ogóle wszelkie melodyjki zamiast normalnego, tradycyjnego dzwonka są dla mnie idiotyczne. Wybrała mi to coś moja druga żona. Uważała, że jest „słodki”. Ja nie do końca się z nią zgadzałem, ale kochałem ją. No, może chciałem w to wierzyć. Tak więc ryk kankana pojawiał się w najmniej oczekiwanych momentach, powodując ogólne zamieszanie i rozbawienie w miejscach publicznych. Po rozwodzie zmieniałem dzwonek kilkakrotnie na bardziej tradycyjne brzmienie telefonu. Niestety, zdarzało się, że po prostu nie rozpoznawałem go i nie odbierałem. Najwyraźniej powstało już niewidzialne połączenie między moim mózgiem a kankanem, więc poddałem się i tak już zostało. Kankan. Reakcja na odruch Pawłowa. Sięgam po telefon, nie zastanawiając się nawet, kto i po co dzwoni do mnie w piątkowy wieczór.

– Cześć, Maciej! Siedzisz nad swoją książką?

To Filip. Mój dobry kumpel. Przyjaciel to za dużo powiedziane. Ot, taki towarzysz wieczornych podbojów miłosnych i bitew alkoholowych.

– A jak myślisz? Tak, próbuję coś napisać.

– Pierdol to! Przyjeżdżaj do „Grubego Piotrka”, szykuje się fajna imprezka.

– Filip, ja nie chcę dzisiaj imprezować. Ja chcę wgryźć się w moje wspomnienia, a nie wrywać laski i jutro leczyć kaca.

– Oj tam, oj tam. Od razu wrywać laski. Jedno, dwa, no góra trzy piwka i wrócisz do swojej książki.

I co miałem zrobić? Muza, natchnienie, zwał jak zwał, uparcie omijała moje towarzystwo, a sam niestety nic nie wymyślę.

– Dobra, zaraz będę.

– Tak lepiej. Czekam na ciebie, ale pośpiesz się.

„Gruby Piotrek” był odkryciem Filipa. Knajpa, w której, nie wiadomo z jakich powodów, spotykała się dojrzała młodzież taka jak ja. Nie było tam gangsterów, dresiarzy. Nie było nawet specjalnie co zjeść. Właściwie, menu ograniczało się do różnych alkoholi i paluszków, ale knajpka miała swój klimat. Klimat lat 90., czyli mojej pierwszej młodości. Ogólnie rzecz ujmując, schodzili się tam samotni, choć nie tylko, dojrzały osobnicy w celach z góry ściśle określonych i zatwierdzonych przez resztę gości. Wchodzę do „Grubego Piotrka”. Obojętnie jak to brzmi, faktycznie robię to. Filip stoi przy barze i czaruje swoją osobą dwie odwrócone tyłem do mnie, dość niczego sobie, dziewoje. Z gwałtownych gestykulowań Filipa mogę jedynie wnioskować, że jest już całkiem pozytywnie wstawiony. Podszedłem bliżej i oto pojawił się przede mną żywy dowód na prawdziwość słowiańskiego przysłowia. Z tyłu liceum, z przodu muzeum. Nie odważyłem się im

spojrzeć w twarz, by nie zachować się jak antygentelmen. Czasami upływ czasu może być bezwzględny dla urody. Filip musi być już albo mocno napity, albo na ogromnym seksualnym głodzie.

– Cześć, Maciej! – mówiąc to, przytula się do mnie. Tak szczerze, po polsku, po pijaku i szepce mi do ucha – Dzięki, że przyszedłeś. Ratuj mnie od tych potworów. Zabierz mnie. Udaję, że jestem pijany, ale one są tylko bardziej i bardziej napalone!

Ja, prawdziwy Polak, chrześcijanin, nie zostawiam druhów w potrzebie. To sprawa honoru.

– Miłe Panie – to mówiąc, patrzyłem na butelki ustawione na półkach za barem – czas mi zabrać waszego rozmówcę. On chyba ma już dość. Mam nadzieję, że spotkamy się innym razem. „I innym wymiarze czasowym” – odpowiedziałem sobie w myślach.

Nie odpowiedziały, a my nie czekaliśmy na odpowiedź. Zabrałem go bynajmniej nie do domu, lecz do stolika schowanego w rogu sali. Byle dalej od nich. Zamówiłem dwa piwa. Filip okazał się faktycznie trzeźwy. No, prawie.

– Maciek, dzięki ci jeszcze raz. Zmyliły mnie od tyłu. Zaatakowałem je, sugerując się tyłeczkami i to był błąd. Jak sobie zdałem sprawę w co się wpakowałem, było już za późno. Wpadłem w sieć. Istne tarantule! Co ja mówię?! Modliszki pierdolone!

– Spoko, od czego ma się kumpli.

– No, a zmieniając temat. Jak tam twoje pisanie? Mam nadzieję, że dasz mi trochę poczytać tych pikantnych szczegółów z twojego życia.

– Nie będzie żadnych pikantnych szczegółów. To ma być takie psychologiczno-filozoficzne studium nad moim życiem. No wiesz, czy na przykład spełniłem się jako dziecko, jako dorosły mężczyzna. Czy wyznaczone cele w młodości zostały osiągnięte?

A może zmieniły się priorytety w przeciągu tych wszystkich lat. Jeżeli tak, to dlaczego? Co na to wpłynęło? Nie mam zamiaru pisać ile lasek miałem, gdzie i w jakich okolicznościach. To słyca strasznie temat, a ja chcę podejść do mojego życia w sposób poważny.

– Eee, to to jakaś nuda będzie. Jestem jednak dobrej myśli, bo cię znam. Zaczyniesz zapewne w tych filozoficznych klimatach, a skończysz na tej Bogusi, którą okręcałeś w zeszłym tygodniu w toalecie, zdradzając wszystko w najdrobniejszych szczegółach. I na to czekam!

– No to się zawiedziesz, mój drogi.

– Dobra, dobra. Maciek, lubię cię. Wiesz o tym doskonale i mam dla ciebie mały prezent z tej okazji.

– Z jakiej okazji?

– No, że cię lubię! Nie utrudniaj. Poczekaj. Chcesz napisać książkę, ale nie masz czasu, natchnienia, warunków i takich tam różnych pierdół, które są potrzebne pisarzom, więc mam dla ciebie niespodziankę. Wykupiłem ci tygodniowy pobyt w pięknym hoteliku w Puszczy Noteckiej. Ktoś sprytny, wyobraź sobie, przerobił stary, barokowy dworek na ekskluzywne miejsce dla osób chcących wypocząć i szukających... powiedzmy... siebie.

– Ciekawe. A gdzie leży ten dworek?

– I to jest najlepsze! Ruchanko Dolne. Czujesz klimat?

– Co?

– Tak nazywa się to miejsce. Jest jeszcze Ruchanko Górne, ale tam nie ma nic poza upadłym pogramem. Nazwa sama w sobie motywuje do pisania książki. Szczególnie, gdy ma ona opowiadać o twoim życiu.

– Chyba sobie jaja robisz.

– Nie, serio! Tam jest hotelik, cisza i samotni ludzie chętni do zawarcia nowych znajomości. Zarówno kobiet jak i mężczyzn. Wszystko już załatwione.

– Filip, nie wiem, co powiedzieć...

– Nic. Obiecay mi jedynie, że odpuścisz sobie te psychologiczne brednie i stworzysz dzieło dla potomnych, istną biblię uwodzenia! Polską Kamasutrę!

W sumie, czemu nie? Zaskoczył mnie tą propozycją. Faktycznie, w tych warunkach nigdy nie skoncentruję się dość mocno, by cokolwiek napisać. A tam, w hotelu, na tarasie przy kawie... Już siebie widzę, jak chodzę po starym parku wśród kwiatów i tworzę nowe zdania w głowie. Potem siadam wieczorem przy zimnym piwie i spisuje wszystko na laptopie.

– Filip, dzięki ci. Chętnie się tam wybiorę. Muszę tylko pogadać z szefem.

– Wszystko już załatwione. Możesz jutro się pakować. Oczekują cię w niedzielę.

– Załatwione? Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

– Po prostu znam cię.

Sobotę poświęciłem na pakowanie. W sumie było lato i mała walizka podróżna w zupełności wystarczyła na spakowanie tego, co wydawało mi się niezbędne. Postanowiłem także pojechać tam środkiem transportu publicznego. Czas spędzony w podróży chciałem poświęcić na wstępne przemyślenie mojego przyszłego dzieła. Wybrałem się na dworzec kolejowy i przy moim wielkim zdumieniu okazało się, że przez Ruchanko Górne przejeżdża pociąg osobowy. Kupiłem bilet i wróciłem do domu. Następnego dnia, wyszykowany, z walizką w jednej ręce



i laptopem w drugiej, stałem na peronie czekając na mój pociąg. Dawno już nie jechałem pociągiem. Tym bardziej się cieszyłem. Czułem się trochę dziwnie. Małe podniecenie wymieszało się z niepewnością i powątpiewaniem w sens tego, co robię. I tak właśnie ma być! Nadjechał pociąg. Aż się łezka w oku zakręciła na widok zmęczonej i wysprejowanej kupy złomu. Boże, ile to już lat! Usiadłem przy oknie w kierunku jazdy. Zawsze tak siadam. Wyjąłem laptopa i włączyłem. Do przedziału weszła jakaś starsza pani. Z wyglądu zewnętrznego i ogólnego sposobu zachowania wywnioskowałem, że jedzie do domu do siebie, a nie odwrotnie. Miałem czas, a laptop w swoim naturalnym tempie budził się do życia i pracy.

*...Czym jest życie? Czym jest życie dla mnie? Czy starałem się dość dobrze? Czy mogę powiedzieć, że jestem zadowolony? Moje już czterdziestoletnie funkcjonowanie w naturalnym i sztucznie stworzonym przez człowieka systemie nie różni się właściwie niczym specjalnym od milionów innych ludzi, ale czy jest to powód do smutku czy radości? Do dzisiaj żyłem szybko, łapiąc każdą chwilę, każdą okazję, by moje życie i jakże krótki pobyt na tym wiecznym świecie, zaakcentować. „Tu byłem – Maciek”. Czas zastanowić się czy tylko to pozostanie po mnie...*

Dobry początek. Spojrzałem w okno, przejeżdżaliśmy przez pola. Nigdy nie interesowałem się rolnictwem i za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć, co tak pięknie kwitnie dookoła mnie. A szkoda. Jechaliśmy prędkością „ekonomiczną”, a ja otworzyłem się na wspomnienia. No właśnie, co po sobie pozostawię. Co było i jest dla mnie ważne. Czym jest ta stała niezmienna wytyczająca

moje życie? Osiągnąłem połowę życia. Jak dobrze pójdzie, to jestem grubo za półmetkiem. Mam nadzieję, że będę żyć dość krótko, by do końca móc to robić. No dobra, seks. To jedno, ale, zaraz, zastanówmy się. Co jeszcze. No tak! Byłem żonaty dwa razy i nawet dorobiłem się dziecka z tą pierwszą. Oj, jak wspomnę gdzie go, czyli Karolka, spłodziliśmy... Cholera, obojętnie jaki wybieram punkt wyjścia, zawsze dochodzę do jednego wniosku. Kobiety i seks. To zawsze było faktorem formującym moje życie. Wszystko co robiłem, do czego dążyłem, sprowadzało się do tego. To kobiety i cała skomplikowana sztuka uwodzenia ich stała się motorem mojego życia. Filip miał rację. Na tym muszę skoncentrować moją książkę. To jest moje prawdziwe życie i nie ma co filozofować. Taki jestem i zawsze taki byłem. Nie będę jednak opisywać moich przygód miłosnych, tak jak to sugerował Filip. Na ich bazie stworzę obraz psychologiczny mojej osoby. Tak, to może być ciekawe.

*...Moje życie seksualne rozpocząłem dość wcześnie. Nie pamiętam, ile miałem lat, ale na pewno chodziłem jeszcze do szkoły podstawowej. W tym okresie wakacje letnie dość często spędzałem na wsi u mojego wuja. Istny raj dla dziecka wychowanego między osiedlowymi blokami. Chciałbym wspominać to pierwsze doznanie, że wydarzyło się w pięknie pachnącym i kwitnącym sadzie owocowym. A moja pierwsza leżała razem ze mną na kocu pod jabłonką wśród brzęczących owadów. Niestety rzeczywistość była zupełnie odmienna. Otóż moja kuzynka, kilka lat starsza ode mnie, z powoli rysującymi się kształtami młodej kobiety, poszła do kurnika by nakarmić ptactwo. Kurnik jak to kurnik. Zwyczajny kawałek ogrodu ogrodzony metalową*

*siatką. Pełno było tam kur, kaczek i gęsi. Chyba. Na miejscu trawy istniało jedynie klepisko wymieszane z odchodami różnych kształtów i zapachów. Na środku stała jakaś wielka miska. Moja kuzynka weszła do kurnika z wiadrem paszy, a ja schowałem się za wrakiem starego traktora. Odwróciła się przodem do mnie, pochyliła się i zaczęła nasypywać ziarno do tej miski. Miała duży dekolt, ale za to nie miała stanika. Cóż to był za widok. Kuzynka podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Nie spieszyła się jednak ani nie zakryła biustu. No dobra, zaczątków biustu. Uśmiechnęła się tylko, a ja spanikowałem, zawstydzilem się i uciekłem. Wieczorem tego samego dnia, kuzynka zawołała mnie do stodoły. Wszedłem tam, a ona wskoczyła na siano. Też wskoczyłem, co innego mogłem zrobić. Ona przysunęła się do mnie, chwyciła mnie za rękę i zapytała:*

*– Chcesz dotknąć?*

*Ja tylko pokiwałem głową. Bez słowa, poprowadziła moją rękę pod swoją bluzkę i naprowadziła na lewą pierś. A może była to prawa... nie pamiętam. Moje odczucia, stan w którym się znalazłem, były mi obce w dotychczasowym życiu. To było bardzo przyjemne i jakoś tak dziwnie wierciło w brzuchu. Nic więcej się nie wydarzyło. Nie było dzikiego seksu na sianie, ale to wydarzenie, tak przypuszczam, utorowało moją drogę w przyszłości. Tak, chciałem, by takie przyjemne chwile zdarzały się jak najczęściej, bym miał je na wyciągnięcie ręki...*

*– Bileciki do kontroli – wyrwał mnie nagle jakiś głos. Przez chwilę nie za bardzo wiedziałem, co się dzieje, potem nie mogłem znaleźć biletu, aż wreszcie w panice podając go konduktorowi, zrzuciłem laptopa na ziemię.*

– Spokojnie, musi pan uważać na takie drogie zabawki.

– Tak, wiem. Proszę, oto bilet. Komputer jest cały, nic się nie stało.

Tłumaczyłem się jak przed jakimś policjantem. Konduktor wyszedł, zostawiając mnie z nieznaną kobietą sam na sam. Spojrzeliśmy się na siebie i gdyby była młodsza, ładniejsza i miłej pachnąca, to prawdopodobnie rozpocząłbym taniec godowy samca. Ja usiadłem jednak na swoim miejscu i powróciłem do krainy wspomnień.

*...Liceum, tak to był okres bogaty w doświadczenia. Brnąłem obraną już wcześniej drogą, nie zważając na pojawiające się przeszkody. Miałem chyba ze trzy dziewczyny. Na stałe. Ciągle jednak rozglądałem...*

– Pan do Ruchanka Górnego?

Odezwała się nagle moja towarzyszka podróży.

– Tak, a dlaczego Pani pyta? – zaciekałem się, no i postanowiłem kontynuować ciekawie rozpoczynającą się konwersację.

– Nic tam, Panie, ale toć już prawie na miejscu jesteśmy, a pociąg stać długo nie będzie. Szykować się trza.

No i tyle z wyrafinowanej potyczki słownej.

– Dziękuję bardzo. Życzę miłej podróży Pani. Do widzenia.

Wstałem, zabrałem bagaż i laptopa. Faktycznie dojeżdżaliśmy do Ruchanka Górnego i faktycznie pociąg nie zdążył się jeszcze zatrzymać, gdy zaczął przyspieszać. Ruchanko Górne. PGR Zapuszczony PGR. Stacja kolejowa składała się z peronu i tablicy z nazwą osady. Zszedłem z platformy po popękanych,

betonowych schodach wprost na centralną ulicę. Jedyłą ulicę. Do centrum handlowego nie sposób było zabłądzić. Sklep spożywczo-przemysłowy straszyl swoim szyldem po przeciwnej stronie. Tam zdobęde ważne informacje i papierosy. No, może jakieś zimne piwko też dorzucę do listy zakupów.

– Dzień dobry milej Pani. Jak można się dostać do Ruchanka Dolnego? Jakiś autobus czy taksówka?

– Pan do tego hotelu?

– Zgadza się.

– Autobus to dopiero za dwie godziny, ale młody Maciejewski wozi za parę złotych. Powinien tam stać, niedaleko stacji kolejowej.

– Dziękuję. Chciałbym jeszcze kupić papierosy i jak bardzo zimne jest to piwko?

– A jakie papierosy mają być?

– Najlepiej – patrzę na wystawione rodzaje papierosów... taaa PGR jak nic. – Jakichś zagranicznych nie macie?

– A kto by je tu kupował? Tylko polskie, ale markowe, nie tam od jakiś ruskich. Z hurtowni biorę.

Powiedziała to z taką dumą, że nie odważyłem się na wchodzenie z nią w polemikę.

– To te czerwone poproszę. A piwko zimne chociaż macie? Nadzieja i błaganie na kolanach przemówiło w mych słowach.

– Na półce stoi, to chyba zimne.

Nie kupiłem. Wyszedłem szukać młodego Maciejewskiego. No i oczywiście długo szukać go nie musiałem. Stał jeden samochód z jednym młodym chłopakiem palącym papierosa opartym niedbale o niego. To chyba on.

– Witam, to ty jesteś Maciejewski, co wozi do Ruchanka Dolnego?

Zaciągnął się papierosem, spojrzął na mnie, wypuścił dym i odwrócił głowę w nieokreślonym dla mnie kierunku. Patrzył i patrzył w dal. W końcu przemówił:

– Może... Zależy kto pyta.

Jak to kto pyta?! No ja przecież! Oj, za dużo amerykańskich filmów klasy B.

– No, ja pytam. Słuchaj, płacę stówę za podwózkę do tego hotelu. Zainteresowany?

– Czemu nie i tak nie mam co robić. Ale nie jest Pan agentem BBN? Bo wie pan, dużo ich się tutaj ostatnio kręci. Namierzają mnie, to pewne jak dwa i dwa to pięć. Bo wiesz, ja tak naprawdę, to nie stoję tutaj tak bez celu. To frajernia tylko stoi i sączy piwko. Ja za interesy się wzięłem, no wiesz, takie trochę nielegalne i wlałem chyba jakiemuś szychowi... jakiejś szysze... a zwał, jak zwał. Uważaj, powiesz coś o mnie, to przyjdę po ciebie i wiesz, co zrobię.

– Spoko, mnie możesz być pewny. Ja też robię w tej branży co ty.

– O, ziomal się trafił! A czym handlujesz?

– Jakbym ci powiedział, to musiałbym cię zabić, a potrzebuję cię żywego... jeszcze.

– Dobra, wsiadaj pan, jedziemy.

Jezu Chryste, co to za miejsce! Sklep bez fajek, zimnego piwa i gostek z urojeniami. Niezły początek! Nie zdziwiłbym się, jakbym zarobił jeszcze przed hotelem widłami w plecy.

Widel w plecach nie było. Natomiast to co zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Pałacyk? To istna

luksusowa rezydencja! Droga do pałacu wysypana była białym żwirem i wiodła przez piękny, zadbane, wiekowy park. Wzdłuż drogi stały jak strażnicy ogromne dęby. Trawnik, na styl angielski, przystrzyżony i odchwaszczony. Przed szerokimi schodami wejściowymi stała piękna fontanna z figurą jakiegoś bożka, któremu z wideł tryskała woda. Podjechaliśmy pod główne wejście. Momentalnie przy samochodzie pojawiła się obsługa, by zabrać bagaże. Bagaży nie miałem, ale i tak stali i czekali na instrukcje ode mnie. Czułem się lekko spięty, ale co tam. Jestem w końcu gościem. Tak dla rozluźnienia atmosfery, zapytałem:

– A cóż przedstawia ta piękna fontanna?

– To jest, proszę wielmożnego gościa, Neptun.

– Aha... taka podróbka tej fontanny w Gdańsku? – chciałem zabłysnąć wiedzą.

– Nie, proszę Pana. To akurat jest oryginał. To w Gdańsku stoi falsyfikat – odpowiedział nie patrząc mi w oczy lokaj.

Zaskoczony wszedłem do środka. Recepcja również prezentowała się bardzo dobrze, a Pani za kontuarem... jeszcze lepiej. Ciekawe czy miejscowa...

– Dzień dobry. Mam rezerwację u was. Moje nazwisko Maciej Prus.

– Dzień dobry, Panie Prus. Jest Pan może potomkiem TEGO Prusa?

– Nie, niestety nie.

– Oj, to szkoda, ale i tak witamy w naszym hotelu. Proszę, oto klucz do Pańskiego pokoju. Numer dwadzieścia osiem, na pierwszym piętrze. Jak się Pan rozgości i odświeży, to zapraszam do restauracji na lunch.

Wziąłem klucz i poszedłem do swojego pokoju. Wszystko, co miałem, meble, obrazy, wszystko było oryginalnym antykiem lub super podróbką. Ten hotel musiał kosztować majątek. Pokój jednoosobowy. To, co zobaczyłem po otwarciu drzwi, zaskoczyło mnie po enty raz dzisiaj. Nie, to nie był pokój hotelowy, do którego przyzwyczaiał moje życie. Łóżko, a raczej łoże, było tak wielkie, że spokojnie można by zorganizować w nim orgię dla kilku osób. No i ten baldachim. Nigdy jeszcze nie spałem pod baldachimem! Nie znam się na starociach, ale wszystko w tym pokoju było stare. Chyba. Jak na moje oko wczesne rokoko. Przy łóżku mała garderoba, pod ścianą lustro z szafką na kosmetyki. Brak telewizora. Wchodzę do łazienki i pierwsze, co rzuca mi się w oczy to piękna, duża wanna. Szlafrok, ręczniki, mydelka... wszystko dla mnie i tylko dla mnie! Rzuciłem się na łóżko. Wygodne i miękkie. Filip miał rację. To byłby grzech nie przetestować tego sprzętu z jakąś kobitką. Właśnie, Filip! Muszę do niego zadzwonić.

– Filip? Facet, co to za super miejsce! Byłeś tutaj wcześniej?

– Nie, ale słyszałem wiele dobrego. I jak tam? Opowiadaj.

No i opowiedziałem mu dokładnie o wszystkim. Gdy się rozłączyłem, wstałem i poszedłem do restauracji. Narobiłem sobie smaczku i spodziewałem się czegoś naprawdę luksusowego. Nie zawiodłem się. Duża przestronna sala z ogromnymi szklanymi drzwiami otwartymi na oścież. Znaczą się, na taras. W środku nie było żywej duszy, więc poszedłem właśnie tam. TAM kwitło życie! Prawie wszystkie stoliki zajęte, ale kelner, który zjawił się obok mnie nie wiadomo skąd i kiedy, zaprowadził mnie do jednego wolnego. Usiadłem pod wielkim parasolem z zimnym



piwem, na które nie musiałem w ogóle czekać. Widać tutaj wszyscy chyba zamawiają piwo na początek. To dobrze. Lubię piwo. Szczególnie z kufła, gdy piana powolutku ścieka sobie po szkle. Łyknałem. Boże, jakie dobre i zimne! Tego mi było trzeba. Teraz czuję, że żyję! Zapaliłem papierosa, upiłem jeszcze jeden łyk i rozejrzałem się po otaczających mnie ludziach. Wszyscy byli uśmiechnięci i zadowoleni. Raj. Tak musi być w raju. Tutaj napiszę moją książkę. Zobacz ten widok, ten las. Cudowne.

Moje rozmyślenia przerwał kelner:

– Dzień dobry, zdecydował się już Pan na coś?

– Nie, jeszcze nie, ale zamówię to samo, co je ta Pani przy tamtym stoliku.

– Dobry wybór. Szczupak w sosie koperkowym to najlepsze danie naszego kucharza.

Szczupak... no niech będzie. Połechtamy sobie nasze podniebienia.

Szczupak był wyśmienity. Nigdy jeszcze nie jadłem tak dobrze przyrządzonej ryby. Popijałem kawę i już uciekałem w objęcia mojego natchnienia, już widziałem przed oczami słowa układające się w zdania mojej książki, gdy usłyszałem z boku miły, ciepły głos:

– Przepraszam, nie przeszkadzam?

– Nie, ależ skąd. Proszę usiąść.

Nie żeby narzekać, lub coś w tym stylu, ale źle zrobiłem. Grubo po czterdziestce, zadbana i owszem, ale jednak wieku nie da się oszukać. „Testy próbne mojego łóżka raczej nie z tobą maleńka, albo raczej babciu” – pomyślałem. Ona jednak miała azymut skierowany na podryw. Z tym podrywem to jest tak, że kobiety generalnie czekają, aż samiec zacznie rozmowę. On się

produkuje, by zwabić ją, a ona świadoma planów, posłusznie oddaje się rozmowie. Oboje wiedzą jak to się skończy, ale swoje trzeba odpracować. Przejdź przez rytuał. Ona i on czekają, aż skończy się gadanie o niczym, by wreszcie się do siebie dopaść. Jakie to standardowe, wręcz nudne. Ja jestem już tak obyty męczyzną, że gdy chcę, bardzo chcę, to zdobywam każdą. Jednak tym razem nie chcę. Nie po to tu przyjeżdżałem by tracić czas na coś takiego, co siedzi na przeciwko mnie.

– Nazywam się Helena Malinowska. Jestem tutaj sama i przyjechałam przedwczoraj, a Pan?

Jeszcze powiedz, który jest twój pokój i że masz ochotę na dziki seks. Już chyba bardziej mi nie mogła dać do zrozumienia, o co jej chodzi. Ja jednak zagrywam po dżentelmeńsku:

– Mów mi Maciej. Maciej Prus.

– Jest Pan z TYCH Prusów? Potomkiem tego słynnego pisarza?

Wyczułem nadzieję w jej głosie. Nadzieję przelecenia przez TEGO Prusa.

– Nie, nie z tych Prusów. Cóż sprowadza cię do Ruchanka Dolnego? – stanowczo zaakcentowałem ostatnie dwa wyrazy.

– Chcę odpocząć. Pracuję na wysokim stanowisku w banku, co wiąże się z ogromnym stresem. Tutaj odpoczywam i mam w planach też trochę poszaleć. No wiesz, jak nastolatka... A ty? Po co tutaj przyjechałeś?

– Też uciekłem od miejskiego zgiełku, ale mam zamiar skoncentrować się na pisaniu mojej książki.

To powinien być jednoznaczny sygnał w delikatnej grze podrywu, że nie ma u mnie szans.

– No proszę, to jednak coś łączy cię z Prusem. A o czym będzie ta książka?

Nie poddaje się. Chyba jest w potrzebie, a kobieta w potrzebie groźna jest. Czas to skończyć, póki jeszcze oboje możemy zachować twarz. A może jednak by ją... tak dla sportu...? Nie, nie, to odpada, jeszcze tak nisko nie upadłem. Ja nie jestem na głodzie. Na razie.

– To będzie książka o mnie, o moich doświadczeniach, przeżyciach i takie tam. Helenko, wybac mi, ale muszę zabrać się do pracy. Zobaczymy się wieczorem. Jest tu chyba jakiś dancing albo coś?

– Trzymam cię za słowo, ty mój pisarzu. Przeczytasz mi później to co napisałeś?

– Oczywiście. No to cześć.

Wstałem i momentalnie замуrowało mnie. Zupełnie jakby wypadł mi dysk, tylko bólu nie było. Bogini. Idealne połączenie anielskiej piękności i diabelskiej pokusy. Piękna, perfekcyjna. Opisywać? Nawet bym nie śmiał. Każde słowo byłoby obrazą dla niej. I nagle dociera do mnie jak rzucona siekiera między oczy informacja wzrokowa, że ona nie siedzi sama. Szybka i fachowa ocena mojego rywala. Kurde, jest przy kasie. Drogi zegarek, garniturek, okulary z... nie widzę firmy. No tak, chyba nic tu po mnie. Układ prosty i powszechnie znany. Ona lubi kasę, a on ją ma. Czemu by jednak nie spróbować wieczorem? Nie mam może takich funduszy jak ten tam, ale gdy wspinam się na wyżyny mojej elokwencji, to kasa staje się bez wartości. Zaraz, zaraz. Po jakimu oni gadają? To na pewno nie jest angielski ani niemiecki. Francuski to też nie jest. No, to klops. Ja nie znam żadnego języka obcego. To też napiszę w mojej książce. Dobra, spadam stąd.